

Sporty extreme w dobie 5.0

LIPIEC 2022



Bartosz Ostałowski o przeciwnościach losu, determinacji i walce o marzenia



Wyjątkowy drifter i jedyny na świecie profesjonalny kierowca, który prowadzi auto stopą – człowiek, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Wraca do dramatycznych wydarzeń, na skutek których musiał na nowo uczyć się życia, oraz opowiada, jak dzięki uporowi i determinacji można wspiąć się na wyżyny swoich umiejętności. Opowiada o swojej pasji do motorsportu, codziennych treningach, diecie i regeneracji. Dzieli się swoimi cennymi doświadczeniami jazdy za kółkiem z perspektywy osoby z niepełnosprawnością. Wspomina niezwykłą przygodę – udział w programie „The Grand Tour” i spotkanie z charyzmatycznym Richardem Hammondem.



Kochasz prędkość, ekstremalną jazdę i głośny ryk silnika, a na torze czujesz się jak ryba w wodzie. Kiedy odkryłeś, że motorsport to Twoja pasja?

W zasadzie jest to coś, co było we mnie od zawsze. Odkąd byłem małym chłopcem, bardzo cieszyły mnie samochody i motocykle. Chciałem obejrzeć, dotknąć, wsiąść do samochodu, spróbować poprowadzić. Jak tylko była taka możliwość, siadałem u taty na kolanach, żeby trochę pokręcić kierownicą, bo nie dostawałem do pedałów. Interesowały mnie też różnego rodzaju imprezy sportowe czy samochody wyścigowe. Z czasem tak już zostało i dalsze kroki w moim życiu były podyktowane tym, żeby jak najbardziej związać się z motoryzacją, zagłębiać temat budowy samochodów i techniki. Kiedy wybierałem kierunek studiów, zdecydowałem się na mechanikę i budowę maszyn, czyli coś ściśle związanego z inżynierską stroną motoryzacji.

A kiedy nastąpił moment przejścia z czystej zabawy do rywalizacji w zawodach?

Myślę, że na etapie liceum albo nawet szkoły podstawowej. Od zawsze marzyłem, aby zostać kierowcą zawodowym i móc wystartować w rajdzie. Jako dziecko oglądałem zespoły wyścigowe, samochody i ich przygotowania. Było to dla mnie niezwykle emocjonujące, natomiast nie do końca wtedy wiedziałem, jak to zrobić. W czasach liceum starałem się zdobywać coraz więcej informacji technicznych, a potem poszedłem na odpowiednie studia. W międzyczasie kupiłem pierwszy samochód i przygotowywałem go do startów. Kiedy tylko zdobyłem prawo jazdy, od razu miałem w planach, żeby startować w pierwszych SuperOES-ach i zbierać punkty do licencji rajdowej. Od początku byłem sfokusowany na to, żeby się ścigać.

Wypadek, któremu uległeś i na skutek którego straciłeś kończyny, dla niejednego byłby powodem do załamania. Ty udowadniasz, że uszczerbek na zdrowiu nie jest barierą nie do przeskoczenia. Powiedz, na ile ta sytuacja zmieniła Ciebie i Twoje podejście do życia? Czy stałeś się przez nią silniejszy?

Myślę, że na pewno. Kiedy doszło do wypadku, miałem 20 lat, więc można powiedzieć, że był to początek dorosłego życia. Dużo czasu spędzałem wówczas w warsztacie, doskonaląc swój samochód. Na co dzień jeździłem też na motocyklu i studiowałem, więc tych zajęć było całkiem sporo. Starłem się jak najbardziej przygotowywać, żeby urzeczywistnić swoje marzenia związane z pierwszymi profesjonalnymi startami. Pewnego dnia przydarzył się wypadek, który wywołał ogromne zaskoczenie. Był to przejazd z miejsca A do punktu B dosłownie kilka ulic od domu, w mieście, w którym mieszkałem, na trasie, którą pokonywałem wielokrotnie. Pojechaliśmy z moim kolegą, który jechał przede mną na swoim motocyklu. Skręciliśmy z obwodnicy w drogę do centrum miasta i nagle między nas z drogi podporządkowanej wyjechał samochód osobowy, który zagroził mi drogę. Starłem się wyhamować, jednak zobaczyłem, że nie dam rady, bo działa się to bardzo szybko. Kiedy jedzie się za kimś, to bardziej patrzy się na kierowcę z przodu. Ten samochód pojawił się między nami znikąd, więc miałem niewiele czasu na reakcję. Stwierdziłem, że odruchem obronnym położę motocykl na prawą stronę, żeby uniknąć uderzenia w samochód. To się udało, ale siłą odśrodkową



„Ludzie widzą, że moje problemy, z którymi zmagam się w życiu codziennym, nie są dla mnie powodem do rezygnacji z realizacji swoich celów, więc gdy widzą skalę moich wyzwań, ich problemy stają się mniejsze”.



przesunąłem się w stronę jezdni i uderzyłem rękami w przydrożną barierkę wyspawaną ze starych rur. Było to na tyle niefortunne, że lekarze musieli podjąć decyzję o amputacji. Wtedy tak naprawdę całe moje życie legło w gruzach. Wszystkie plany, dążenia, aktywności, zajęcia, które podejmowałem na co dzień, nagle przestały być realne i możliwe do kontynuowania. Znalazłem się w szpitalu z pustką w głowie i przerażeniem, bo straciłem obie ręce i nie wiedziałem, jak moje życie będzie dalej wyglądało. Nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze uda mi się wsiąść za kierownicę.

Jak duże znaczenie w procesie rehabilitacji odegrało wsparcie rodziny? Czy korzystałeś w tym czasie z pomocy psychologa?

Rehabilitacja zajęła mi około roku. Na początku było to wychodzenie z ran po operacji w szpitalach, a potem już rehabilitacja ruchowa, żeby wrócić do jakiejś sprawności. W tym czasie obecność i wsparcie

rodziny były bardzo ważne, natomiast w pewnym momencie zostaje się z tym wszystkim samemu. Trzeba podjąć decyzję, co dalej robić, bo był taki moment, kiedy wróciłem z tych wszystkich szpitali i znalazłem się z powrotem w swoim mieszkaniu, we własnym mieszkaniu. Odwiedziłem swój garaż, gdzie stał mój motocykl oraz samochód, który był na kobyłkach warsztatowych, tak jak go zostawiłem. Nikt nie miał czasu w ogóle się nim zająć. W tamtym momencie uświadomiłem sobie, że już nigdy nic nie zrobię przy samochodzie i nigdy nie wsiądę na motocykl. Było to smutne i przygnębiające zdarzenie z rzeczywistością. Pewne czynności życia codziennego były trudne, ale liczyła się pomoc bliskich, dzięki której nie odczuwałem aż tak bardzo, że nic nie jestem w stanie zrobić na co dzień. W pewnym momencie poczułem, że nie chcę wegetować i być zdanym na pomoc innych, tylko chciałbym spróbować samodzielnie podjąć jakieś kroki. Znaków zapytania było wiele. Pojawiły się głosy, że